

Kłęska w KK

Pewnego pięknego poranka świat obiegnęła mroząca krew w żyłach wiadomość: Kłęska w Krainie Królików. Dodajmy: kłęska urodzaju. Wszyscy poczuli się co najmniej podle, bo przecież każdy lubi króliki, sympatyczne skądinąd zwierzątka. Same króliki też poczuły się w najwyższym stopniu zaalarmowane, nikt przecież nie lubi, żeby mu wytykano, że jest go za dużo, przekroczył limit i trzeba go będzie zredukować. Drastycznymi metodami na dobitek, przy czym słowo „dobitek” nabrało odtąd zupełnie nowego, złowieszczonego wyrazu.

Międzynarodowa Najwyższa Rada Królików obradowała już od jakiegoś czasu tajnie nad tym palącym problemem, ale żadnych rezultatów obrad, ze zrozumiałych zresztą względów, jak nie było widać, tak nie było. Kto z przedstawicieli Rady odważyłby się głosować za opcją „króliki do odstrzału”, no kto? Nawet tajne głosowanie skończyło się na niczym, bo króliki już od dawna wiedziały, że kulki do anonimowego głosowania są po podliczeniu głosów poddawane kontroli obwąchiwania przez specjalną jednostkę policyjną składającą się z psów dingo i wkrótce po głosowaniu każdy królik w kraju znał listę, kto jak głosował, imiennie i bez cienia wątpliwości. Psy nie myliły się nigdy. Najwyższa Rada sama przecież ustanowiła taki organ kontrolny, żeby nie zawiódł, nie mogła więc mieć do nikogo pretensji.

W takiej sytuacji król królików całymi dniami modlił się, a nocami leżał krzyżem na zimnej posadzce pałacowej kaplicy. Tym sposobem mógł choć trochę się wyspać, podczas gdy Rada obradowała bez wytchnienia, niestety w paralizującym świadomości poczuciu, że każda minuta obrad tylko pogarsza i tak już fatalną sytuację, bo króliki rozmnażały się także bez wytchnienia, w postępie geometrycznym, i nic nie było w stanie ich powstrzymać, a kontynent, na którym żyły, nie rozciągał się ani na jotę. I pomyśleć, było tak fajnie.

Nie tak znowu dawno temu pierwsi kolonizatorzy kontynentu przywieźli pierwszą parę króliczą na swoim statku i nie zauważyli przy wyładowywaniu cargo w porcie docelowym, że króliki dały nogę. Klatka królików, przekładana to tu to tam, przeżarta w ciągu wielu tygodni podróży wodą morską, puściła, i króliki ulotniły się niepostrzeżenie. W ogólnym chaosie i harmidrze dały susa w busz *outbacku* i tyle je widziano. To właśnie byli króliczy prapraprarodzice dzisiejszych milionów króliczych prapraprawnuków, Królik Adam i Królicza Ewa, jak głosi Księga Króliczych Konkretów. Piędź po piędzi w ciągu zaledwie dwóch stuleci zasiedliły gęściami cały kontynent podążając za podstawową wartością swojego *species*: skaczcie i rozmnażajcie się.

W pierwszych pokoleniach wszystko wyglądało tak, jakby przed królikami otworzyła się ziemia obiecana: ogromny, pusty niemal kontynent z rzadka tylko był zasiedlony przedziwnymi aboryginalnymi mieszkańcami takimi jak kangury, strusie emu, dziobaki, kolczatki i misie koala zupełnie niezainteresowanymi zjedaniem królików. Mięsożerne psy dingo natomiast swoje menu długo układały tradycyjnie z zasobów sprzed ery królika, zanim się połapały, że to coś puchate hycające, co nie jest kangurem, smakuje jeszcze delikatniej niż kangur. Nasza pierwsza para królików puściła się przed siebie i wkrótce cały *outback* zaczął radośnie pobrzmiwać od odgłosów kicania coraz to nowych pokoleń uroczych aksamitnych zwierzątek z ogromnymi jak anteny słuchami i wdzięcznie sterczącymi siekaczami rzucającymi się na każde źdźbło najanemiczniejszej nawet trawki, zyg, zyg. Był to Złoty Okres w dziejach rodu króliczego.

Skończył się, gdy kolejni osadnicy — dodajmy gwoli ścisłości, że nie dobrowolni, bo byli to więźniowie, których Stary Kontynent pozbywał się wywożąc ich w cholere i bez prawa powrotu — zabrali ze sobą lisy. Lisy wkrótce też zrzuciły z siebie jarzmo niewoli u człowieka, wyemancypowały się, a króliki stały się ich głównym źródłem pożywienia, podobnie jak na kontynencie, z którego przybyły. Byli więźniowie, a właściwie to nadal więźniowie, tyle że więzieniem był cały kontynent, o więzienie nie mieli zwyczaju dbać, więc mało ich obchodziło, co sobie robiły króliki i co przemyślały lisy. Każdy sobie rzepkę skrobał. A króliki po pierwszej euforii rajskiej anarchii zaczęły się coraz sprawniej organizować i tak powstał obowiązujący do dziś Kodeks Kardynałny Królików, czyli w skrócie Kodeks KK, lub jeszcze krócej KKK.

Każde kolejne pokolenie królików wychowywane było od przedszkola w duchu niepodważalnych wartości KKK i słusznym poczuciu, że ich ród, królików mianowicie, jest na świecie najważniejszy. Rozmnażanie się było w skali króliczych wartości wartością szczytową. I, jak kontynent długi i szeroki, żaden królik temu najważniejszemu z przykazań się nie uchylał, wręcz przeciwnie, mnożył się jak, *nomen omen*, przysłowiowy królik, czyli bez opamiętania. Jednak inne zwierzęta krainy wkrótce zaczęły czuć się spychane na tereny coraz bardziej pustynne i jałowe i coraz bardziej miały za złe królikom. Króliki jednakowoż nie dały sobie nic powiedzieć. I to nawet wtedy, gdy jeden z kształconych w europejskich lasach lisów, słynny uczony kanoliusz Nikoalis Koperlisus, ogłosił koniec królikocentryzmu. Dla kogo koniec dla tego koniec. Nie dla królików.

Jak już wspomnieliśmy, podczas gdy Międzynarodowa Najwyższa Rada szukała sposobów na takie przetasowanie skali wartości, żeby króliki nadal przekonane o niepodważalności wartości rozmnażania się, co w końcu było i jest od zarania dziejów domeną królików, równocześnie zechciały wyhamować, panujący na dzień dzisiejszy Król Tysiąc Trzysta Czterdziesty Trzeci (MCCCXLIII) Czy-Coś-Koło-Tego zwany Pobożnym, modlił się nie przestając jednocześnie pluć w brodę Królowi Dziewięćset Trzydziestemu Szóstemu (CMXXXVI) Czy-Jakos-Tak zwanemu Nieomylnym, który 100 lat wcześniej ustanowił zasadę o niepodważalnej nieomyślności króla nie do podważenia nawet przez samego króla, co bardzo wiązało kolejnym królom po nim miłościwie panującym łapy.

Co bowiem król ogłosił stawało się automatycznie *per dogmatum* dogmatem po wsze czasy i nie było odwrotu. A że każdego króla ambicją było zostawienie po sobie choćby i jednego dogmatu, przy czym królowie następowali po sobie jeszcze szybciej niż pokolenia królików, bo zawsze mogło się zdarzyć, że król z takich czy innych powodów abdykował lubo zostawał upolowany i trafiał do garnka, więc i lista dogmatów co raz to się wydłużała i dołączała do potężnego i tak już Kodeksu Kardynalnego Królików. Król Circa 1343. najchętniej unieważniłby cały KKK i zaczął ustanawiać listę dogmatów od nowa, ale takiej możliwości obowiązujące prawo nie przewidywało. Co robić?

Zostawmy na razie króla królików z tym dylematem, niech główkuje dopóki mu korona z głowy nie spadnie, a my przyjrzyjmy się bliżej, jakich spustoszeń zatrwajający wyż lepograficzny już zdołał dokonać, od efektu El Niño, po rabunkową eksploatację zasobów mórz i oceanów, od miast molochów otoczonych szczelnym wielokilometrowym pierścieniem odrażających slumsów po zanieczyszczenie środowiska górami bobków. Zaduszenie było niemal doskonałe. Lisy też obradowały ze swej strony, co należałoby zrobić. Polowania na króliki miały się z celem, rezultat był żaden, obcych słów na "e" z kolei żaden z lisów nie odważyłby się wziąć do pyska po tym jak jeden taki z ich szeregów, wódz Hitri Lis, okrutny tyran i nieuk, pomylił grekę z łaciną i zupełnie bez sensu te słowa zinterpretował. I my też tego nie róbmy, to takie miłe pluszaki są przecież.

Odgórne przymuszenie królików do stosowania prezerwatyw gryzło się z dogmatem musu nieustającej prokreacji. Jeden ze Starych Lisów odważył się wprawdzie zachęcać króliki plakatem pędzla wybitnego współczesnego artysty Lisa di Latte, na którym kochanek-królik nabywa w aptece 800 prezerwatyw na kolejną randkę z ukochaną, ale kupić a stosować to też dwie różne sprawy. Cała Kraina Królików zalana była nieodpowiednio wykorzystanymi prezerwatywami, co już też stanowiło poważny problem dla środowiska. Góry króliczych bobków konkurowały z górami porzuconych gumek a te z kolei były już prawie tak wysokie jak najwyższa góra Krainy Królików, Góra Legendarnego Generała Królików, Świętego Prakrólika Kościuszki. Bowiem rozochoczone króliki nakładały sobie prezerwatywy na głowy, żeby im uszy nie latały, co wzmogło tylko ich aktywność seksualną dawniej hamowaną co nieco płaczącymi się uszami.

Podczas gdy Najwyższa Międzynarodowa Rada kombinowała jakby tu pogodzić odwołanie dogmatu z dogmatem o nieodwołalności dogmatu i co doba wypluwała 80 stron dokumentu na interesujący nas temat, na szczeblu regionalnym sprawa miała się zgoła inaczej. Co rusz jakiś nawiedzony Rabbit wygłaszał kolejne kazanie o patriotycznym obowiązku pomnażania króliczych bytów obiecując na zachętę tzw. króliczkowe, czyli *expressis verbis* plasterki marchewki owinięty listkiem sałaty. Mowy te, uczenie zwane, i słusznie, „rabbitonami” (*to rabbit on* = głądzić, trajkotać, paplać) transmitowały programy telewizyjne Krainy Królików w porach najwyższej oglądalności. Króliczy lud ukochał sobie ponadto seriale telewizyjne pt. „Kochaj jak królik”, „Króliku Trwaj!”, „Jak

z króliczka Playboya zrobić króliczą mamę" i na to też żadna antykopulacyjna polityka nie pomagała.

Ponadto każde najmniejsze króliczątko wiedziało nieomal od kołyski, że sprzeciwianie się naukom KK groziło zesłaniu do pobliskiej Tasmanii, gdzie diabły tasmańskie tylko czekały na świeże królicze mięso, żeby je nabić na widły i zrobić sobie z niego ich ulubione danie, potrawkę z królika, znaną w tamtejszej kuchni pod nazwą „diabelski delikatesik”, niebo w gębie, mniem, mniem. Niewinne królicze mózdzki impregnowano także od maleńkości strachem przed obrzydliwie brzmiącym słowem: antykrólicecja i obalano wszelkie mity wprowadzane podstępnie przez lisy chytrusy o rzekomym dobrodziejstwie metody kryjącej się za tym pojęciem. „Kochane króliczki”, głosili nauczyciele, „gdyby wasi rodzice stosowali antykrólicecję, nie byłoby was na świecie, czy możecie sobie to wyobrazić?!“ - „Nieeee!”, dziecięce głosiki potwierdzały to, czego najwięksi filozofowie też nie są w stanie sobie wyobrazić, co jest, jak ktoś kto jest, mógłby nie być.

Król tymczasem, oświecony po długich modłach i katowaniu się spaniem na twardej marmurowej posadzce królewskiej kaplicy, podjął ostateczną decyzję. Złoży ofiarę. W tym celu uda się do źródła, do Città del Denera [1] a tam do świątyni Królikogłowego Boga Un, jedynego prawdziwego w boskim panteonie, jak sama nazwa wskazuje, i, zgodnie z tradycją króliczych prawd zebranych w Księdze Króliczych Konkretów [2], wskoczy sam do garnka, żeby stać się daniem na boskim stole, co bez wątplenia będzie najlepszym przykładem dla całej Krainy Królików i odwróci od KK klęskę urodzaju. Najwyższy wódz lisów, mądry Lis Przechera z niemieckiej dynastii uczonych lisów von Goethe, pochwalił decyzję króla zachęcając króliczy lud do brania przykładu ze swojego władcy i dobrowolnego wskakiwania do każdego napotkanego garnka tu, na miejscu, w Krainie Królików. I już rozpoczął zbieranie najwymyślniejszych przepisów kucharskich, żeby się, broń Boże, nikomu króliki nie znudziły.

Tak oto narodziła się nadzieja na cudowne przemienienie klęski urodzaju KK w urodzaj klęski KK, do czego niewątpliwie przyczyniły się przebiegłe zracjonalizowane od czubka mordki po ostatni włoszek ogona lisy, za co im chwala.

*

Rabbits, the surprisingly interesting “tail” of this invasive species.

Unut: The Rabbit Goddess of Ancient Egypt.

The Rabbit. A Tale of Selfless Generosity.

Inne legendy o królikach.

* * *

Tekst napisany pierwotnie dla www.racjonalista.pl (tu są też komentarze).